

Zdzisław Łapiński

Polityka z bliska i z dala

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (51), 1-4

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

3
1998

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Polityka z bliska i z dala

Państwo silne, lecz nie despotyczne, literatura o wyraźnym kolorycie lokalnym, a jednocześnie za pan brat z tym, co dzieło się wówczas w krajach bardziej rozwiniętych... Zwykle jednak, gdy zastanawiamy się nad związkiem między polityką i literaturą, myślimy nie o tej epoce sprzed czterech wieków, epoce zdrowych stosunków między władzą a sztuką słowa. Myślimy przede wszystkim o dwu ostatnich stuleciach. O paroksyzmie politycznym, który wymusił niegdyś na naszym piśmiennictwie jego najważniejsze utwory, i o tych kilku latach w połowie naszego wieku, które poraziły sztukę całkowitym paraliżem. Natomiast okres wojny i okupacji rysuje się nam ciągle jako kataklizm zewnętrzny w stosunku do literatury, mimo trudu, jaki włożył Jerzy Świątek w prostowanie tej opinii (por. „Literatura polska w latach II Wojny Światowej” Warszawa 1997).

Dla znanego amerykańskiego muzykologa Jeffrey'a Kallberga (Chopin attithe Boundaries: Sex, History, and Musical Genre, Cambridge, Mass.: Harvard UP, 1996) odkrycie, że Szopen pod różami chowa aromaty, było równie ekscytujące, jak sfeminizowany przez XIX wiek wi-

zerunek jego osobowości twórczej czy strategię wydawniczą kompozytora poruszającego się w labiryntach gospodarki rynkowej z dużą zręcznością.

Zaciekawienie politycznymi koneksjami sztuki jest dziś na Zachodzie powszechne. Dlatego też dla kogoś stamtąd wygląda to pewnie na szczyt perwersji – że mając wśród krytyków głównie utwory bezwstydnie polityczne, staramy się dzisiaj bagatelizować tę ich stronę, odgradzając od niej różne mistyczne destylacje, jakim owe treści podlegały. Albo że zwracamy się ku wcześniejszym utworom naszych literackich wielkoludów, utworom wprowadzającym bitny, ale ustępujących rangą tamtym – aby odnajdywać w nich tzw. wartości uniwersalne. A przecież, jako krytycy, pogrążamy się z zapalaniem w lekturze utworów socrealistycznych, które pod względem jakości literackiej ustępują trzeciorzędnym produktom kultury masowej. Pogrążamy się, bo utwory te są tak jawnie polityczne w swojej genezie, tematyce i funkcji.

Oczywiście, wynika to z przekonania, że polityka źle się komponuje z literaturą. A jakież okres dobitniej to potwierdza niż okres socrealizmu? Tak więc z niechęci do związku między literaturą i polityką bierze się nasze zainteresowanie socrealizmem!

Co do poetyki socrealistycznej, to stała się ona przedmiotem akademickim. Wśród jej koneserów pierwszym wiesz Wojciech Tomasik, który w swoich książkach potrafił wydobyć imponującą ilość presupozycji skrytych pod ubogą powierzchnią ówczesnej poezji i prozy. O nowomowie Michał Głowiński i kilku innych autorów powiedzieli chyba wszystko, co można było – z przyjętego punktu widzenia – powiedzieć, ale zainteresowanie nie wygasa, tylko że przesuwają się od cech niepowtarzalnych stylu soc ku cechom bardziej generalnym mowy propagandowej, także tej, której nie chroni parasol policji politycznej.

Żadna opowieść o tym, co przytrafiło się naszej literaturze w ciągu dwu ostatnich stuleci, nie może przegapić wątku cenzury i wątku emigracji. Jakież to wdzięczny obiekt dla wszelkich roztrząsań z socjologii sztuki – skutki kontroli politycznej najprzód w systemie autokratycznym, później w totalitarnym. To prawda, że lekcja, jaka płynie z naszej historii, jest niezbyt zaskakująca. Konsensowny ucisk może ożywić literaturę, może pobudzić ją do największej koncentracji sił; ucisk totalitarny dławi ją skutecznie. Ale smak jest w szczegółach, a tych nie brakuje.

Z perspektywy lat nadchodzących można uznać problematykę socrealizmu i wszelkich zjawisk pochodnych, łącznie z piśmiennictwem emi-

gracyjnym, za fakt historii, za rzecz godną skrupulatnych badań ze względu na skrajność i kliniczną czystość tego przypadku, ale bez wyraźnej łączności z chwilą bieżącą. Poczucie to na pewno będzie się pogłębiało. Ale czy w państwie wolnym i demokratycznym sprawy cenzury i sprawy literatury na obczyźnie będą zajmowały wyłącznie miłośników przeszłości?

Obronę cenzury w krajach demokratycznych podejmowali zwykle ludzie o poglądach zachowawczych – i przegrywali. Dzisiaj jednak sprawa się skomplikowała. Także zwolennicy cywilizacji permissywnej chcieliby kontroli nad słowem. W trosce o dobre imię różnych upośledzonych grup społecznych żądają restrykcyjnych posunięć prawnych, aż po zmianę z dawna utartej i traktowanej dotąd jako coś niewinnego frazeologii potocznej. Dają się słyszeć głosy domagające się ocenzurowania pod tym kątem nie tylko Szekspira, ale i Biblii.

Odrzebywać polityczne korzenie zjawisk kulturalnych można na różne sposoby. W ostatniej dekadzie nastawienie neomarksistowskie zaczyna ustępować nastawieniu neonietzscheańskiemu. Jeśli przyjmiemy, że walka o przewagę duchową, o prestiż, o dominację w środowisku zawodowym jest już faktem politycznym, to właśnie takie polityczne pojmowanie życia literackiego, łącznie z krytyką i historią literatury, zaczyna zyskiwać w Stanach i w Europie coraz więcej zwolenników. U nas od lat poglądom tym dawał wyraz Janusz Sławiński, ostatnio w błyskotliwym referacie na II Zjeździe Polonistów (opublikowanym w wydaniu zbiorowym „Wiedza o literaturze i edukacja”, Warszawa 1996), referacie, który nie zyskał oddźwięku, na jaki zasłużył. Z podobnych podszeptów powstał artykuł Haliny Filipowicz, który ukazuje się w tym numerze „Tekstów Drugich”. Wywołać on może konsternację, bo autorka przenosi kategorie wypracowane gdzie indziej i z myślą o innym przedmiocie na problematykę naszej literatury emigracyjnej i jej recepcji. Ale taka konsternacja powinna wyjść na dobre, jeśli tylko obudzi z drzemki naszych speców od literatury na obczyźnie.

Socrealizm w Polsce był zjawiskiem dotkliwym, ale przelotnym, choć jego pogłosy dawało się odczuć jeszcze długo po spektakularnej klapie, jaką poniósł w okolicach 1956 roku. W każdym razie nie stał się nigdy odskocznią dla gruntownej rewizji całej naszej kultury w tym stuleciu. Inaczej w Rosji. Tam, zgodnie z tradycyjnym dla tego kraju duchem radykalizmu zaczęto obracać w niwecz wszystko, co nie tylko poprzedziło, ale i przygotowało zdaniem publicystów, krytyków i filozofów nowy ład

stalinowski. Awangarda pierwszego ćwierćwiecza znalazła się na ławie oskarżonych w doborowym towarzystwie. Jeden z najoryginalniejszych eseistów, wykładający w Niemczech Borys Grojs, nie cofnął się przed umieszczeniem na tej ławie samego Michaiła Bachtina.

Postronnemu obserwatorowi łatwiej zachować rozsądek. W swoim szkicu, opublikowanym w naszym bieżącym numerze, Clara Cavanagh nie rozciąga negatywnej oceny na całą dwudziestowieczną literaturę rosyjską, ani nawet na jakiś określony jej nurt. Nie stosuje odpowiedzialności zbiorowej, wybiera jednego autora, takiego, który z pewnością na to zasłużył. Odkrywa u samych źródeł wyobraźni i wrażliwości Majakowskiego zalążki przyszłej degrengolady. Autorkę wyróżnia ponadto elastyczność podejścia. Docenia pożytek, jaki przy pomysłnym zbiegu okoliczności może wynikać z przenikania się polityki i literatury. Jej Whitman przekonuje, że polityka potrafi dobrze służyć poezji, a poezja – polityce.

Sądzę, że u nas znów jest na czasie Norwid. Jego poprzednikom historia udzieliła nie lada przywileju, podsunęła im tematykę w samej swej podstawie poetycką. On podjął się poetycko przyswoić także rzeczywistość banalną. A należała do niej polityka, ta, którą nazywał "prozą parlamentarną". Nasza nowa literatura z pewnością nie będzie prowadziła dalej linii Herberta, linii narzucania faktom obcej im miary Fidiasza, ale też nie musi nawiązywać wyłącznie do linii Białoszewskiego, linii redukcji spraw publicznych do ich groteskowych obrzeży. Jest jeszcze linia Norwida, linia wydobywania z miałkich zdarzeń sensów wcale niemiałkich.

Ale o robienie literatury niech się troszczą literaci. Do krytyków należy tylko dtubanina w rzeczach gotowych.

Zdzisław Łapiński